

Piotr Kępiński *Passeggiata* po latach

Kilka lat temu wypatrzyłem tutaj pierwsze włoskie wydanie *Rodziny Połanieckich* Sienkiewicza, za jedno euro i *Homo Sapiens* Przybyszewskiego za pięćdziesiąt centów. U neapolitańskich bukinistów na Spaccanapoli można kupić wszystko. Dosłownie. Dzisiaj wpadła mi w ręce *Passeggiata* Jana Bielatowicza, rzecz trochę droższa. Trzy euro.

Książka kompletnie zapomniana, a to przecież jedna z pierwszych pozycji wydanych przez Instytut Literacki, w roku 1947 mieszczący się jeszcze w Rzymie. Absolutnie niezniszczona, zapewne nieprzeczytana, ze stemplem Polskiego Komitetu Pomocy w... Sztokholmie.

Ukazała się tylko raz. A jej celem była „edukacja” przybyłych do Italii żołnierzy z Korpusu, którzy zostali tu w ramach Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia.

Trudno o bardziej kuriozalny przewodnik, w którym najważniejszymi miastami włoskimi były, oprócz Rzymu, Ankona, Bolonia, Cassino, San Marino. Bo w tych miejscach większość Polaków, po odbytych bojach, pozostała.

Żeby się chłopacy nie pogubili w Italii i trochę liznęli jej obyczajów, u Bielatowicza zamówiono ów bedeker, który miał po trochu tłumaczyć historię i współczesność, ale także opisywać ludzi i ich mentalność. I trzeba przyznać, że rzecz wyszła zgrabnie. Nawet dzisiaj czyta się ją z przyjemnością. Bielatowicz był dobrym obserwatorem i stylistą, zatem jego opowieści pozbawione są koturnu. Nie jest to może narracja wyrafinowana, ale ciekawa. A czasami nierzeczywista albo z rzeczywistości wyabstrahowana. Jak nazwy rzymskich ulic, które Bielatowicz żołnierzom przetłumaczył, żeby Wieczne Miasto stało się dla nich bardziej polskie, a przez to jakby mniej istniejące. W żadnym innym przewodniku nie spotkałem się z próbą tłumaczenia nazwy ulicy Babuino na Małpki, via Bocca di Leone na Lwiej Paszczy, via della Scrofa na Maciory, via Botteghe Oscure na Czarnych Sklepów...

A Bielatowiczowi jakoś to uszło, bo zrobił to z humorem, nie zmieniając przy tym książki w zbiór prostych anegdot, gdyż wiedza i znajomość historii jest tutaj ewidentna.

Nierzeczywista jest ta opowieść, bo widać w niej też nieistniejące już dzisiaj trakty, gospody i zwyczaje. Nikt już dzisiaj nie pije wina we Włoszech w takich ilościach, jak w latach czterdziestych, kiedy spożycie alkoholu w Rzymie nie było mniejsze aniżeli w Warszawie.

Do ulubionych miejsc, w których rzymianie lubili „dawać w palnik”, należało Frascati, dokąd wybierali się po pracy podmiejską kolejką.

Wino z tamtych okolic do dzisiaj jest uważane za jedno z gorszych we Włoszech. Jedyna jego zaleta to cena. Bielatowicz pisze, że miejscowych cechowała wtedy niezwykła fantazja w nazewnictwie tych sikaczy: Cebulka, Jak się macie, Spokój orla, Górą nasi, Pod tramwajem...

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych wino w Italii traktowano jak wodę. Mogło być lekarstwem, mogło być przyjemnością. Było zawsze. Dla wszystkich: częstowano nim nawet dzieci. Od rana do wieczora. W domu i poza domem.

Bielatowicz tłumaczył żołnierzom zawiłości związane z nazewnictwem restauracji i gospód: „*Trattoria* odpowiada polskiej gospodzie, a na pierwszym miejscu stałoby w niej jedzenie, gdyby nie to, że w Italii wino jest główną potrawą. *Osteria* mniej już wybredna w doborze potraw i przychodzi się do niej głównie na wino. Bliższe jedzeniu są też *rostiticcerie* (z mięsem smażonym i pieczonym, zwykle na oczach gości) i *pizzerie*, gdzie się zakrapia pizzę neapolitańską i gdzie wielkie powodzenie mają sery. Ta pizza to raczej pozór. Inaczej *bottiglieria* i *fiaschetteria*. To już pijalnie win bez pozorów, przekąsek i wykrętów. Jeżeli gość jest głodny, może mu gospodarz w drodze łaski posłać ser lub mortadelę”.

Dzisiaj wszystko na odwrót. Najpierw jedzenie, potem znowu jedzenie, a do tego trochę wina.

Kilkadziesiąt lat temu ból żołądka powodowany był nadmiarem wina i tłustej mortadeli. Teraz rzymscy restauratorzy katują nadmiarem mięsa, ryb i warzyw. Po samych przystawkach, wśród których *fiori di zucca* i *filetti di baccala*, trudno spojrzeć na coś innego. A rzymianie jedzą wszystko. Uwielbiają nawet flaki, których forma nieco inna od naszych. Nie wspominając o gołębiach. Praktyczny naród. Co świetnie wychwycił Bielatowicz, który jak sądzić można, po restauracjach lubił sobie pochodzić.

Zmarł w Londynie, w roku 1965. Napisał trzynaście książek. Jerzy Giedroyc mówił o nim w *Autobiografii na cztery ręce*: „postać bardzo specjalna. Był to mój kolega z Brygady Karpackiej, ciekawy poeta, należący do przyzwoitych endeków”.

Za *Passeggiatę* był wśród znajomych kolegów literatów chwalony. Książkę docenił Józef Wittlin. Ciepło o niej mówił sam Giedroyc.

I już chciałem napisać, że o Bielatowiczu w Polsce kompletnie zapomniano, gdyby mi w ręce nie wpadła antologia polskiego eseju literackiego pod redakcją Jana Tomkowskiego. A tam tekst Bielatowicza *Hej wino, wino, wino, z Passeggiaty* rzecz jasna.

Fantastycznie napisany. Koncertowy wręcz. I zupełnie nieważne, że trzepnął się w nim Bielatowicz parokrotnie, sugerując chociażby, że *Falanghina* (w wersji pisarza to *Falanghiano*) to winny szczep starorzymski, bo raczej z Kampanii, z Taburno.

Trudno jednak mieć do niego o to pretensje. Po pierwsze, rzymianie lubią konfabulować i zawłaszczać, a to od nich, jak można przypuszczać, czerpał wiedzę Bielatowicz. Po drugie, kto eseiście czy felietoniście zabroni trochę pofantazjować? Albo malowniczo się pomylić?